WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 57 11 MAJA 1976 R CENA 1,50 ZŁ

XXIX WYŚCIG POKOJU TRWA

Już jadą! Za moment wpadną na bieżnię stadionu. Narastający szmer tysięcy kibiców przeradza się w potężny okrzyk. Dopingowani kolarze jeszcze mocniej naciskają pedały. Jakby nie mieli za sobą dziesiątek przejechanych kilometrów...

I tak witani są wszędzie. Od lat. Na każdej mecie, na każdym kilometrze trasy. Równie gorąco będziemy przyjmować ich na polskich szosach. Liderów i pechowców, sławnych i nowicjuszy. Od nas samych zależy jak kolarze będą wspominać tegoroczny Wyścig Pokoju. Pamiętajcie więc: wasz doping, porządek na drogach, będą dla zawodników najlepszym bodźcem do dalszej walki i zapłatą za dotychczasowy wysiłek.

Znacie już wyniki pierwszych etapów XXIX WP. Na str. 3 znajdziecie zaś garść informacji dotyczących poprzednich wyścigów.

Zdjęcie: CAF

UWAGA! 11 maja, tzn. dzisiaj, czekamy na uczniów starszych klas szkół podstawowych w Poradni Wychowawczo-Zawodowej na ulicy Świerczewskiego 9. Gdy przyjdziesz, dowiesz się wszystkiego o interesującym Cię zawodzie; będziesz mógł sprawdzić własne zdolności, refleks, obejrzysz filmy, porozmawiasz z psychologiem.

UWAGA! 12 maja, tzn. jutro — NASTĘPNA BOMBA! Uczniów klas VII i VIII zapraszamy na

DZIŚ I JUTRO W TORUNIU ze „ŚWIATEM MŁODYCH"

WIELKI BAL GAŁGANIARZY! Przebierzcie się w co tylko możecie! Stroje zależą od Waszej pomysłowości! Na balu tysiąca uczniów wielkie atrakcje: konkursy, wystawa, gry, quizy, nagrody, dyskoteka!

Bal rozpoczyna się o godz. 17.00, będzie trwać aż 4 godziny. Imprezę organizujemy wspólnie z Zespołem Szkół Budowlanych specjalnie dla wszystkich kandydatów do zawodu budowlanego. A zatem — do zobaczenia w Zespole Szkół Budowlanych na ul. Zjednoczenia 19/25. (bs)

Co słychać u pionierów w NRD?

Podwójna niespodzianka

Pionierzy ze szkoły w miejscowości Lichtenstein współpracują z miejscowym przedsiębiorstwem handlowo-gastronomicznym. W placówkach tego przedsiębiorstwa odbywają m. in. swoje praktyki robotnicze. Na zakończenie jednej z nich postanowili sprawić swoim opiekunom niespodziankę i na zajęciach praktycznych wykonali bardzo pomysłowe notesy kelnerskie w kształcie lalek. Gdy któregoś dnia wybrali się aby je wręczyć, kierownik zakładu spytał, czy mimo że ich praktyka dobiegła już końca, nie mogliby trochę pomóc w przygotowaniu sałatek warzywnych i owocowych. Oczywiście zabrali się do pracy, a gdy wszystkie sałatki były już gotowe, kierownik zaprosił ich do wspólnego wraz z załogą poczęstunku. Była to wspaniała niespodzianka! **(ek)**

Delfinarium w słynnym gruzińskim uzdrowisku Batumi, wzbogaciło się o niezwykłego mieszkańca. Jest nim pingwin Miki, który traktowany początkowo przez sąsiadów jako intruz, z czasem zaprzyjaźnił się z nimi na dobre.

Zdjęcie: CAF

Uwaga harcerze!

Dziś rozpoczął się XII ALERT ZHP „OLIMPIJSKI START"

To już po raz dwunasty! Długa jest tradycja dorocznych Alertów ZHP — ci, którzy kończą dzisiaj szkołę podstawową, w momencie ogłaszania pierwszego Alertu mieli lat dwa, trzy...

Tegoroczny, XII Alert ZHP, odbywa się w roku olimpijskim i związany jest ze sportem. Zadania, które otrzymaliście za pośrednictwem swoich drużynowych polegają na zorganizowaniu sportowych sprawdzianów, odbyciu alertowego zwiadu pn. „Rejestr obiektów sportowych i rekreacyjnych", podjęciu czynów społecznych na rzecz tychże obiektów. Ukoronowaniem dni alertowych będą tzw. Alertowe Festyny Olimpijskie organizowane w gminach, miastach i dzielnicach.

XII Alert ZHP rozpoczął się dzisiaj, trwać będzie przez dni trzy. Życzymy Wam wykonania wszystkich zadań alertowych szybko, sprawnie i na piątkę oraz tego, aby każdemu z Was indywidualnie ich realizacja sprawiła zadowolenie i satysfakcję!

Na str. 3 przeczytajcie fragment rozkazu Naczelnika ZHP.

Na światowej scenie:

Kto otworzy Olimpiadę?

„Nie jest wskazane, aby osoby z zewnątrz otwierały uroczystości olimpijskie w naszym kraju" — tak wyraził się premier jednej z prowincji kanadyjskich w czasie dyskusji nt. kto powinien dokonać otwarcia Olimpiady w Montrealu: czy premier Kanady Pierre Trudeau czy królowa brytyjska Elżbieta II. To dosyć oględne sformułowanie jest wyrazem panujących tam nastrojów i dążeń Kanady do całkowitego uniezależnienia się od byłej metropolii.

Ale nastroje — pozostają nastrojami a stan faktyczny pozostaje niezmieniony od ponad 100 lat. W roku 1867 Kanada otrzymując status dominium angielskiego, uzyskała jednocześnie konstytucję. Jak na owe czasy była ona liberalna i dawała dziesięciu prowincjom kanadyjskim dosyć duże uprawnienia. Nie bez wpływu pozostawał tu fakt, iż jest to kraj ogromny i pełna jego kontrola wymagałaby dużych ilości wojsk. Od tego jednak momentu upłynął wiek. Kanada w 1931 roku uzyskała niepodległość i weszła w skład Commonwealthu czyli Wspólnoty Brytyjskiej, uznając królową brytyjską jako głowę państwa.

Niezmieniona pozostała konstytucja, która zaczęła uwierać kraj jak przyciasna koszulka. Kanada bowiem posiadając własny rząd, własny parlament większość ustaw musi także przedstawiać do zatwierdzenia w parlamencie brytyjskim. Każda ustawa musi więc przejść skomplikowaną procedurę dyskusji parlamentarnej i głosowania, przy czym humorystyczny jest fakt, iż Kanada w składzie parlamentu londyńskiego nie posiada swoich przedstawicieli. Obcy ludzie w dalekim Londynie decydują o żywotnych dla Kanady sprawach. Ten stan rzeczy wywołuje, rzecz oczywista, niezadowolenie ludności kanadyjskiej, zwłaszcza tej pochodzenia francuskiego. A jest jej około 30 procent.

Anachroniczność sytuacji, w której parlament brytyjski wyraża zgodę na formułowanie ustaw suwerennego państwa stała się dla wszystkich oczywista. Premier Trudeau wystosował do premierów rządów wszystkich prowincji kanadyjskich, propozycję zmierzającą do zakończenia nadzoru Londynu nad ustawodawstwem w Kanadzie. Zakończenie sprawy zależeć będzie od jednomyślności wszystkich prowincji, a także... zgody parlamentu brytyjskiego.

Jak na razie nic się nie zmieniło. Zaś królowa brytyjska uroczyście dokona aktu otwarcia Igrzysk Olimpijskich w Montrealu. (bz)

Rozstając się pięć dni temu z przestraszonym prowincjuszem, który miotał się bezradnie po ulicach 9-milionowego Paryża, nie powiedziałem nic o tym, dlaczego mimo strachu przed miejskim molochem, dąży on jednak do niego, a nawet stara się w nim osiedlić na stałe. Chciałbym dziś to niedomówienie rozszyfrować.

Człowiek w wielkim mieście (2)

„Co pcha ludność do miast? — zapytuje jeden z publicystów, pisząc o miastach zachodu i zaraz na pytanie to odpowiada: — Oczywiście perspektywa lepszego życia. Dotyczy to zwłaszcza krajów kapitalistycznych i rozwijających się, gdzie problemy te są najbardziej jaskrawe. Dochód, przypadający na jednego mieszkańca wielkich miast, jest w tych krajach z reguły 3—5 razy większy niż na wsi. Ciągną więc miliony ludzi, zwabione lepszym życiem, świecącymi neonami i złudnym kolorytem życia miejskiego. Większość jest tak biedna, że nic nie jest w stanie powstrzymać ich wędrówki. Wszak walczyli o byt całe życie."

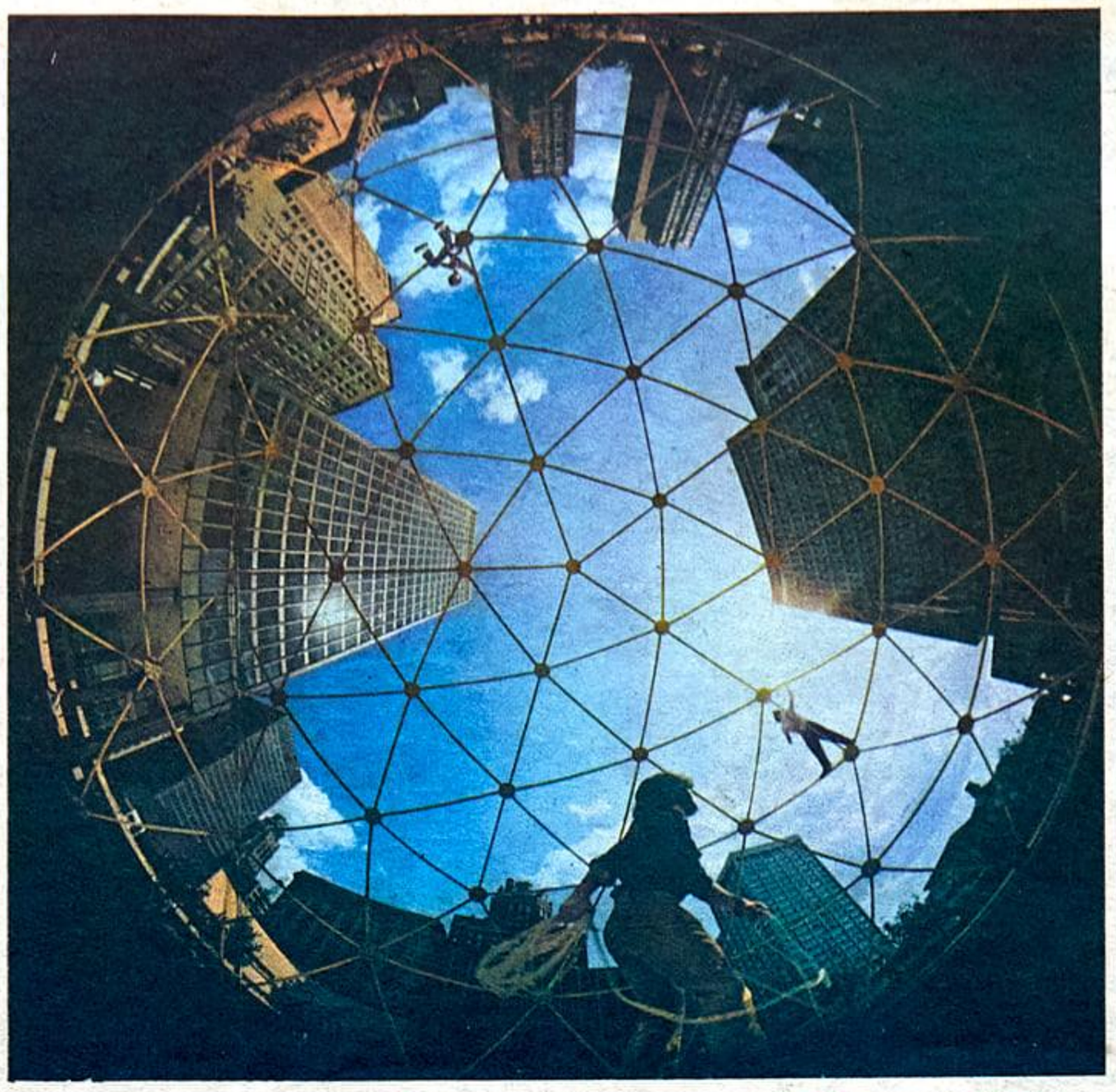

Jak żyć w megalopolis?

JEST to, oczywiście, obraz trochę przejaskrawiony, choć faktem jest, iż miasto stało się w świadomości wielu ludzi symbolem szybkiego awansu społecznego, lepszego życia, wyższych zarobków, i to nie tylko w ustroju kapitalistycznym, ale także w naszych warunkach. A że nie zawsze jest to prawda — to inna sprawa. Często miasto jest bowiem obwarowane licznymi przepisami porządkowymi (np. zakaz otrzymania meldunku) i wcale nie ułatwia życiowego startu, wręcz go utrudniając, podczas gdy wieś — jak u nas, w Polsce — oferuje mu nie tylko dobrze płatną pracę, ale także atrakcyjne mieszkanie. A mimo to, w psychice ludzi, miasta są czymś lepszym od innych organizmów. Być może dlatego, że to właśnie tu znajdują się ośrodki władzy i administracji oraz duże skupiska wszelkich instytucji mogących zaspokoić różnorodne ambicje i zainteresowania, że można być w wielkim mieście, megalopolis, istotą zupełnie anonimową.

Tak, to są z pewnością argumenty, które pozwalają prowincjuszowi przezwyciężyć strach i stopniowo przyzwyczaić się do warunków i do obowiązującego stylu życia. A gdy wreszcie, po latach, staje się pełną gębą mieszczuchem — to co?

BIERZE czynny udział w rozbudowie miasta. A rozrastają się one w tempie szalonym. W ciągu ostatnich 20 lat, na przykład, aż 80 miast przekroczyło granicę miliona mieszkańców. Obecnie zaś jest ich już 162. Co siódmy człowiek na świecie mieszka dziś w mieście milionowym. Zresztą milionerzy to obecnie żadna atrakcja. Są już bowiem miasta 10 razy większe. Tokio, Nowy Jork, Szanghaj, Meksyk przekroczyły dawno 10 milionów.

„Prawdziwym fenomenem wśród dzisiejszych miast — pisze Krzysztof Koprowski w artykule „Planeta ludności miejskiej" — jest **Kalkuta**, która — jak obliczają specjaliści — w 2000 r. osiągnie zawrotną, trudną dziś do wyobrażenia liczbę 40—66 milionów mieszkańców. Mexico ma mieć wówczas 26 mln, Kair 20 mln, Delhi 18—33 mln, a Bombaj 9—16 mln".

Do czego to doprowadzi? — pytają urbaniści i socjologowie. Przy braku planowego zagospodarowania miasta (a w społeczeństwach zachodnich istniejące ustawodawstwo, które broni interesu jednostek, utrudnia jakiekolwiek sensowne ogólne planowanie przestrzenne) może dojść do tzw. „przeurbanizowania". Najprędzej grozi to podobno Europie, mającej do końca XXI wieku zrosnąć się w ogromne megalopolis czyli wielkie miasto, przypominające pajęczą sieć, przenikającą przez granice, połączoną asfaltem, betonem, żelazem i szkłem. Czy będzie wówczas miejsce na przyrodę? Na rekreację? Na spokojny spacer? Podobno — nie.

TA wizja, jak uczy doświadczenie, nie powinna się sprawdzić. Futurologia istnieje ponoć po to, aby przewidywać stany, których trzeba uniknąć. I tak się w konsekwencji dzieje. Czy to, co można zaobserwować obecnie w Stanach Zjednoczonych, nie jest tego pierwszym objawem? Tamtejsze aglomeracje przeżywają bowiem wzmożony odwrót ludności z miast na prowincję.

Tak się stało, na przykład, 2,5 roku temu z Walterem Matsingerem, pomocnikiem stolarza z Filadelfii. Wracając z pracy, utknął w gigantycznym ulicznym korku, zdenerwował się i powiedział sobie: „Mam dość!" Decyzja o ucieczce od molocha, od panującej w nim przestępczości, od zatrutego powietrza, społecznych napięć i pośpiechu — dojrzała w jednej chwili. Wrócił do domu, spakował manatki i udał się do małego miasteczka Tucson w stanie Arizona, gdzie żyje sobie spokojnie i cicho.

Matsinger był kawalerem, decyzję podjął łatwo. Ale miasta opuszczają też ludzie posiadający liczne rodziny. Jak Wiliam Menzel z Albany, który wpakował żonę i czworo dzieci do swojego samochodu i wyruszył do Cedar Rapids w stanie Iowa, gdzie — stwierdza z zadowoleniem — „żona może o drugiej w nocy wyjść z psem na spacer, niczego się nie obawiając, a dzieci nikt nie napastuje, gdy idą do szkoły, ani nikt nie odbiera im drugiego śniadania".

Czy w związku z tym miasta się wyludnią? Nie! — twierdzą znawcy. Będzie natomiast odbywał się stały przepływ ludności między miastem a wsią, jak w zamkniętym obiegu wody. Jedni będą do miasta przybywać, szukając tu awansu i lepszego życia, oswoją się z nim i wzrosną, drudzy w tym czasie z niego uciekną. Ci zaś, co przybyli z prowincji, wydadzą potomstwo, które wychowane w mieście, w dorosłym życiu znienawidzi je i ucieknie na wieś.

A jak będzie naprawdę? To pokaże przyszłość. My natomiast mamy szansę uniknąć tamtych niebezpieczeństw i przerostów. I wydaje mi się, że już ich unikamy. Istnieje bowiem w Polsce plan przestrzennego zagospodarowania kraju, który ogranicza wzrost miast, bierze pod uwagę ochronę środowiska naturalnego, a jednocześnie sprzyja rozwojowi małych ośrodków, skupiających głównie ludność związaną z rolnictwem, gdzie zarówno standard, zarobki, jak możliwości awansu stanowią interesującą kontrpropozycję dla wielkomiejskiego stylu życia. Na ile zaś będzie ona skuteczna, to zależy nie tylko od atrakcyjności wielkich miast, ale także od hierarchii wartości, jaką lansuje się w społeczeństwie. Jest to jednak temat na następny artykuł i sądzę, że niedługo do niego wrócimy.

WOJCIECH PIELECKI

Zdjęcie: **archiwum**

KOMU „NIE", KOMU „TAK"

W dniu pierwszomajowego święta, na kilka godzin przed rozpoczęciem pochodu, w pobliżu biur Portugalskiej Partii Komunistycznej w Lizbonie wybuchła bomba. Zginął 17-letni chłopak, 6 osób odniosło rany, wyleciały szyby w sklepach, mieszkaniach i hotelach w promieniu 400 metrów. Reakcja portugalska jeszcze raz pokazała, że w walce z ruchem robotniczym i postępem społecznym nie przebiera w środkach.

Tego dnia we wspólnych pochodach maszerowali robotnicy i chłopi, komuniści i socjaliści. Partia Socjalistyczna — zgadzając się na to — zażądała jednak, aby nie niesiono żadnych flag i symboli partyjnych, a także, aby nie uczestniczyli w pochodach przywódcy wojskowi, rządowi i partyjni.

Miało to miejsce w tydzień po wyborach do Zgromadzenia Republiki. I oba te fakty są charakterystyczne.

25 kwietnia wbrew nadziejom sił konserwatywnych w kraju i ich sympatyków za granicą naród portugalski, powiedział: „nie" tym wszystkim, którzy chcieliby cofnąć zdobycze rewolucji „czerwonych goździków". Obie prawicowe partie: Centrum Demokratyczno-Społeczne (CDS) i Partia Ludowo-Demokratyczna (PPD), które jawnie przeciwstawiały się reformie rolnej i nacjonalizacji wielkich przedsiębiorstw, występowały z oszczerczymi atakami przeciw postępowym wojskowym i komunistom, zdobyły łącznie niespełna 40 proc. głosów wyborców. Utraciły więc możliwość powołania rządu, który wcieliłby w czyn ich żądania polityczne.

Partie, które opowiadały się za umacnianiem rewolucyjnych zdobyczy, za socjalistycznymi przekształceniami w Portugalii: Komunistyczna (PPK) i Socjalistyczna (PS) odniosły zdecydowane zwycięstwo, ok. 50 proc. głosów wyborców łącznie. I przewagę 34 deputowanych w parlamencie.

Ogromny sukces przyniosły wybory Portugalskiej Partii Komunistycznej. Zwiększyła ona liczbę swoich posłów o dziesięciu. A stało się to w warunkach, kiedy właśnie tę partię usiłowano winić za trudną sytuację gospodarczą, obrzucano ją najróżniejszymi oszczerstwami, nierzadko przeciw jej członkom i sympatykom stosowano metody terroru i gwałtu. Ten sukces jest jeszcze bardziej wymowny, jeśli dodać, że odniesiony został w okręgach przemysłowych, oraz tam, gdzie najbardziej zaawansowana jest reforma rolna.

Najwięcej mandatów poselskich, bo 108, zdobyła Partia Socjalistyczna. Znacznie jednak mniej niż liczyła. Odnotowała ona też spadek ilości głosów w porównaniu z wyborami sprzed roku — do Konstytuanty. PS straciła głosy tych, którzy wtedy obawiali się otwarcie opowiadać za prawicą, a teraz głosowali na jawnie reakcyjną CDS, która znacznie zwiększyła swój stan posiadania. Również zresztą i kosztem PPD, i na tej samej zasadzie.

Socjaliści stracili jednak i część wyborców na rzecz PPK. Cofnęli im wotum zaufania, ci, którzy mają tej partii za złe odmawianie współpracy z komunistami i nie zawsze konsekwentne poparcie dla społecznych reform.

Po kwietniowych wyborach istnieje szansa stworzenia lewicowego rządu w Portugalii. Zależy to jednak od socjalistów. Od tego, czy zdecydują się na współpracę z Komunistyczną Partią Portugalii. Jest to w tej chwili najważniejsza sprawa dla dalszych losów rewolucji portugalskiej. Jej przeciwnicy — to też pokazały wybory — nie są bowiem słabi. I nie liczą się z metodami.

Rozstrzygnięcie przyniosą najbliższe dwa miesiące, w czasie których naród portugalski podejmie jeszcze jedną ważną decyzję: wybierze prezydenta republiki.

JERZY MAJKA

W ubiegłym roku Wojtek, Andrzej i Maciek wybrali się na pierwszomajową „Paradę młodości". Stali wraz z tłumem ludzi na chodniku i gdy w równym szyku mijały ich ósemki harcerzy w gali, Wojtkowi zakręciły się łzy w oczach. Było mu przykro, że jest tylko widzem. A przecież oni trzej też byli harcerzami, tak jak ci, co maszerują...

Niestety, w ich szkole tylko oni trzej stanowili szczątki dawnej drużyny. Jak tu wziąć udział w defiladzie?! Łatwo sobie wyobrazić śmiech, jaki witałby drużynę harcerską, składającą się z trzech harcerzy!

Kiedyś było zupełnie inaczej

WOJTEK uważa, że wszystko zaczęło się sypać od odejścia drużynowego, który wyjechał do innego miasta. Pożegnanie było krótkie:

— Może się jeszcze kiedyś spotkamy na jakimś obozie — powiedział druh Sobociński. — Pracowało się fajnie...

Zaległa wtedy cisza, nikt nie wiedział, co w takim momencie należy powiedzieć. Kolejno podchodzili do drużynowego i ściskając mu rękę mówili — „czuwaj!".

Później przez pewien czas nie było żadnej zbiórki drużyny, a gdy spotkali się po paru tygodniach ponownie okazało się, że przyszła tylko połowa. Było w ogóle jakoś markotno, ale ustalili, że do czasu przyjścia nowego drużynowego będą spotykać się w zastępach. Wkrótce jednak przekonali się, że to nie takie proste. „Sokoły" spotkały się kiedyś przed szkołą, ale woźna nie chciała dać klucza do harcówki.

— Narobicie tylko bałaganu! — odparła na ich prośby. — Niech przyjdzie drużynowy!

Drużynowy rzecz jasna nie przyszedł, bo go nie było, a że padał deszcz, rozeszli się do domów. Wojtek, zastępowy „Sokołów", namawiał aby spotkać się nazajutrz. Mówił, że bierze na siebie odpowiedzialność i że na pewno będą mieli klucz do harcówki. Część nie miała jednak czasu, a innym się nie chciało. Umówili się więc, że spotkają się kiedy indziej, ale oznaczało to — nigdy.

MINĘŁO kilka miesięcy. Nowego drużynowego nie było, a ich dawne, pełne bombowych przygód wypady za miasto stawały się legendą.

Zbliżała się uroczystość nadania szkole imienia. Scenariusz takiej imprezy jest na ogół typowy. Wiadomo, najpierw przemówienia, a później część artystyczna. W części artystycznej zgodnie ze szkolnym rytuałem popisać się musi zespół harcerski. A jeśli takiego nie ma?! Nie szkodzi, nie takie problemy jakoś się rozwiązuje!

Ojciec Sławka, który został zaproszony na uroczystość jako przedstawiciel komitetu rodzicielskiego był zdziwiony. Wiedział bowiem, że jego

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

XXIX WYŚCIG POKOJU TRWA

Można nie wygrywać etapów...

Rzadko się zdarza, by wieloetapowy wyścig kolarski wygrał szosowiec, który ani razu nie minął mety etapowej jako zwycięzca. A jednak wypadki takie bywają.

W Wyścigu Pokoju wypadek taki zdarzył się czterokrotnie:

— w roku 1948 w wyścigu Warszawa—Praga zwyciężył w łącznej klasyfikacji Jugosłowianin Zoric, który nie wygrał ani jednego z 7 etapów ówczesnej imprezy;

— w roku 1952, kiedy Wyścig Pokoju po raz pierwszy łączył trzy stolice — Warszawę, Berlin i Pragę — zwycięzcą został Anglik Steel, nie wygrywając również ani jednego spośród 12 etapów;

— w roku 1959 Wyścig Pokoju liczył 13 etapów. Schur nie wygrał ani jednego, a jednak jadąc zawsze niemal w pierwszych „wachlarzykach" zwyciężył w klasyfikacji ogólnej, aż o ponad 5 minut wyprzedzając drugiego z kolei — Belga Vanderveckena;

— w roku 1967 Belg — Maes powtórzył wyczyn Zorica, Steela i Schura. Nie wygrał żadnego etapu (a było ich 16), ale kiedy wyszedł na pozycję lidera po XII etapie, „dowiózł" żółtą koszulkę do mety, również o ponad 5 minut wyprzedzając drugiego w klasyfikacji — Kiryłowa (ZSRR).

Decydujące finisze

Przyjęło się w świecie kolarskim twierdzenie, że ostatni etap wyścigu wieloetapowego to zazwyczaj formalność. Wszyscy są zmęczeni, wszyscy pogodzeni z losem; taki ostatni etap rozstrzygany jest zazwyczaj w masowym końcowym sprincie.

A jednak nie jest to żelazna reguła, istnieją wyjątki. W Wyścigu Pokoju zdarzyło się trzy razy, że właśnie na ostatnim etapie lider indywidualny lub drużynowy tracił ostateczne zwycięstwo:

— w roku 1954 — na trasę ostatniego etapu wystartował w żółtej koszulce Belg Van Meenen. Ostrą, ofensywną akcją odebrał mu tę koszulkę i zwycięstwo Duńczyk Dalgaard. Van Meenen zajął ostatecznie III miejsce;

— w roku 1957 — gdy kolarze startowali do ostatniego etapu: Łódź—Warszawa, liderami drużynowymi byli zawodnicy polscy. Ostry atak kolarzy NRD przyniósł rezultat, że oni właśnie stali się drużynowymi triumfatorami wyścigu. Polacy, z których tylko Marian Więckowski przyjechał na metę w czołówce, sklasyfikowani zostali na II miejscu;

— w roku 1960 — kiedy zawodnicy XIII Wyścigu Pokoju startowali do ostatniego etapu, liderem był Adler (NRD). Ale oto kraksa na pierwszych kilometrach. I nie pomagają ani wysiłki Adlera, ani Schura i Weissledera, którzy zostali mu do pomocy. Peleton uciekł, a na mecie okazało się, że zwycięzcą wyścigu został Hagen (NRD). Adler spadł aż na VII miejsce.

Wyścigowe ciekawostki

Najdłuższym dotąd etapem WP był ten rozegrany na trasie Bydgoszcz—Warszawa — 250 km. Ale na innych imprezach etapowych zanotowano jeszcze dłuższe dystanse. Rekord należy chyba do Francuzów, którzy w roku 1967 w Tour de France zorganizowali etap długości 350 km! Ze względu na zdrowie zawodników Międzynarodowa Federacja Kolarska zabroniła jednak wytyczania tak długich odcinków jazdy.

★

Najdłuższą trasę miał WP w 1963 roku — 2542 km, najkrótszą — 886 km — na trasie Warszawa—Praga w roku 1948.

★

Największą różnicę czasu między pierwszą a ostatnią ekipą w końcowej klasyfikacji odnotowano w 1956 roku. Zwycięska drużyna ZSRR miała nad zespołem Egiptu aż 32 godz. i 41 min. przewagi!

★

Dopingiem nazywamy stosowanie środków farmakologicznych, które sprawiają, że na pewien okres czasu zawodnik przestaje odczuwać zmęczenie, ma nawet pewien przypływ energii. W każdym jednak wypadku stosowanie środków dopingujących ma ujemny wpływ na organizm człowieka i dlatego Międzynarodowa Federacja Kolarska publikuje co roku listę środków zakazanych, a z WP jedzie specjalne laboratorium antydopingowe. Dokonuje się w nim analiz pobranego od wyznaczonych zawodników moczu i w wypadku stwierdzenia zastosowania dopingu następuje kara — natychmiastowe skreślenie z listy uczestników imprezy i jednomiesięczna dyskwalifikacja.

Szurkowski zdecydowanym liderem

W klasyfikacji indywidualnej najwięcej zwycięstw odnieśli polscy zawodnicy. Stanisław Królak triumfował w 1956 roku, Stanisław Szozda w 1974, a Ryszard Szurkowski w 1970, 1971, 1973 i 1975 roku. Dwukrotnie zwyciężał reprezentant NRD Gustaw Adolf Schur (1955 i 1959). Pozostali zwycięzcy stawali na ostecznym podium tylko jeden raz. Wyczyn Szurkowskiego trudno więc będzie powtórzyć jakiemukolwiek kolarzowi. A oto co na temat naszego zawodnika powiedział niedawno Czechosłowak, Karel Tocl, jeden z inicjatorów WP:

— Często pytają mnie dziennikarze, kto był — według mego zdania — najlepszym kolarzem wyścigu. Jeżeli żąda się ode mnie konkretnej odpowiedzi, to powiem: Ryszard Szurkowski. Wyróżnia się on nie tylko mistrzowskim opanowaniem jazdy na rowerze, ale i innymi cechami, tak charakterystycznymi dla wielkiego sportowca. Jest skromny i przez wszystkich niezwykle lubiany. Nawet przez największych rywali. Szkoda, że w tym roku nie zobaczę go na starcie w Pradze. Jestem pewny, że byłby on faworytem nr 1.

Wycofało się prawie 800 kolarzy

Różne były dotychczasowe wyścigi. Łatwiejsze i straszliwie trudne, których trasa wiodła wymagającymi wielkich sił górami, a niepogoda dzień po dniu dokuczała zawodnikom. W WP startuje zawsze stawka szosowców doskonale przygotowanych, ale 800 z nich zrezygnowało dotąd przed metą ostatniego etapu. Np. rozegrany w 1953 roku wyścig odbył się w tak ciężkich warunkach (zamiecie śnieżne, lodowate deszcze i mocne przeciwne wiatry), że na 93 zawodników „poddała się" prawie połowa. Polscy kolarze wycofywali się niezmiernie rzadko. We wszystkich wyścigach tylko piętnastu z nich nie zdołało ukończyć tej próby. Padli ofiarą kontuzji i choroby, a o ich wycofaniu decydowali wyłącznie lekarze.

Zdjęcie: CAF

a ALERT ZHP

OTO FRAGMENTY ROZKAZU SPECJALNEGO NACZELNIKA ZHP:

DRUHNY I DRUHOWIE! DZIEWCZĘTA I CHŁOPCY!

Naszej Ojczyźnie potrzebni są ludzie śmiali, odporni, sprawni. Dołożymy starań, aby kształtować w sobie typowe dla sportowców cechy charakteru — odporność i wytrzymałość na trudy, uczciwość, sprawność, solidarność i zaradność.

Popularyzujcie w dniach Alertu zasady oświaty zdrowotnej i higieny, ochrony przyrody i całego naturalnego środowiska człowieka. Własną pracą wnoście jak największy wkład do budowy i rozbudowy szkolnych, zakładowych i osiedlowych obiektów sportowo-rekreacyjnych. Niech społeczny czyn XII Alertu w jak największym stopniu pomnoży fundusze, które kierujemy tradycyjnie na rzecz Pomnika-Szpitala Centrum Zdrowia Dziecka.

Naszej socjalistycznej Ojczyźnie służyć będziemy tym lepiej, im większe będą nasze własne siły, nasze zdrowie, zapał i sprawność.

Niech XII Alert ZHP stanie się wielką manifestacją naszego patriotyzmu, niezawodności i skuteczności harcerskiego działania!

Wszystkim członkom Związku Harcerstwa Polskiego rozkazuję:

— rzetelnie wykonać zadania XII Alertu!

— w dniach alertowych występować w mundurach organizacyjnych!

— wypełnione zadania alertowe zaliczyć na stopnie i sprawności!

CZUWAJ!

Naczelnik Związku Harcerstwa Polskiego (—) Jerzy Wojciechowski hm PL

Warszawa, 10 maja 1976 r.

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

syn należy do szkolnego chóru, lecz nie wiedział, że jest również harcerzem.

– Czy nie wziąłeś na siebie zbyt wielu obowiązków? Chór, modelarstwo, a teraz jeszcze harcerstwo. Nie mam nic przeciw temu, ale czy na pewno dasz wszystkiemu radę? – zapytał po powrocie do domu.

– Ale ja wcale nie należę do harcerstwa. My tylko na dzisiaj dostaliśmy te mundury ze szkoły, żeby ładniej wyglądać.

Oczy ojca Sławka stały się na moment okrągłe ze zdumienia, lecz po chwili unikając dalszej rozmowy sięgnął po gazetę.

POWSTAJE drużyna MSR! Wieść rozniosła się po szkole lotem błyskawicy. Spora grupa chętnych zjawiła się po południu w harcówce. Po kilku przedłużających się chwilach oczekiwania, wkroczył wysoki chłopak z ósmej klasy. Część zebranych znała go.

– Cześć! – odezwał się któryś.

– W harcerstwie na powitanie nie mówi się „cześć" tylko „czuwaj" – poprawił go. – Od dziś będę waszym drużynowym! – przedstawił się. I zaczął opowiadać, że zakładają niniejszym drużynę MSR. Najpierw zdobędą karty rowerowe, potem wszyscy dostaną motorowery, a w ogóle celem ich działalności będzie pomoc milicji w kontrolowaniu ulic. Będą mieli również prawo wypisywać mandaty.

Kiedyś było zupełnie inaczej

Zebranym zaświeciły się oczy! Następna zbiórka została wyznaczona za tydzień. Zjawiło się na niej jeszcze więcej chłopców niż na pierwszej. Nowy drużynowy sporządził listę ich nazwisk i powiedział, że dzisiaj wyjątkowo zwalnia wszystkich wcześniej, bo musi załatwić ważne sprawy w wydziale komunikacji.

Na trzecią zbiórkę przyniósł prawdziwy milicyjny „lizak" i położywszy go niedbale na stół, rozpoczął wykład o tym, że jezdnię należy przekraczać na pasach. Na czwartej zbiórce pozwolił każdemu wziąć „lizak" do ręki. Piąta się nie odbyła, szósta też nie. Po prostu „nowy drużynowy" więcej nie przyszedł. Spotkany na korytarzu szkolnym zrobił się czerwony a potem szybko powiedział, że chwilowo nie ma czasu, bo załatwia ważne sprawy. Jakie to były sprawy już się nikt nigdy nie dowiedział, bo zaczęły się wakacje i drużynowy skończył tę szkołę.

GDY on sam zdał do ósmej klasy, postanowił zorganizować biwak dla byłych harcerzy z ich dawnej drużyny. Powywieszał w szkole plakaty. W ciągu paru dni zgłosiły się zaledwie cztery osoby, a gdy zapytał innych, dlaczego nie chcą, odpowiedzieli również pytaniem:

– A czy dostaniemy motorowery?!

Nawet największy optymista może się załamać, gdy wszystko idzie wbrew jego woli. A jednak Wojtek pojechał wtedy na biwak – w cztery osoby też można się fajnie bawić! Teraz wybiera się na następny – wspólnie z drużyną z sąsiedniej szkoły. Dowiedział się przy okazji o ich bolączce – nie mają harcówki. W ich szkole natomiast izba harcerska stoi pusta. Już od dawna. Więc ma taki projekt: – gdyby tamci harcerze zechcieli przyjść na zbiórkę do ich szkoły, to może chłopcy z ich szkoły znowu zachęciliby się do harcerstwa. I może znowu powstałaby drużyna... Tak jak kiedyś. Przecież kiedyś było zupełnie inaczej!

WŁODZIMIERZ SŁOWIŃSKI

Zagadka sprzed 40. tysięcy lat

NA TROPIE NASZYCH PRZODKÓW

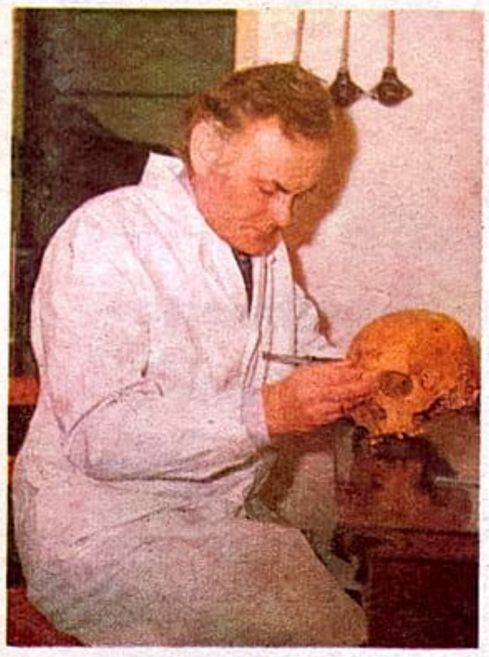

Doc. dr Andrzej Wiercinski przeprowadza pomiary antropologiczne czaszki naszego rozumnego przodka.

Przenieśmy się 40 tysięcy lat wstecz. Epoka lodowa jeszcze trwa, chociaż lądolód cofnął się na północ i zapanował w Europie cieplejszy klimat. Wtedy to pojawił się człowiek rozumny — Homo sapiens. Jego szczątki kostne świadczą o tym, że miał czaszkę zbudowaną podobnie jak my. Co ciekawsze odmienny był od Neandertalczyka zamieszkującego ówczesną Europę do tego stopnia, że trudno uwierzyć w bliskie pokrewieństwo tych form. Znaleźli się nawet tacy, co zaczęli przypisywać temu człowiekowi z górnego paleolitu pozaziemski, kosmiczny rodowód. A jak było naprawdę?

Z prośbą o wyjaśnienie tej zagadki zwróciliśmy się do antropologa, doc. dr ANDRZEJA WIERCIŃSKIEGO.

– Nie potrzebujemy powoływać się na kosmicznych przodków, by zrozumieć genezę naszego gatunku. Jej początki giną w mrokach przeszłości, lecz linię rozwojową człowiekowatych reprezentuje nieprzerwany ciąg pokoleń zwierzęcych a potem praludzkich i ludzkich przodków. Właśnie owa ciągłość powoduje, że trudno wyodrębnić poszczególne gatunki na podstawie stosowanego powszechnie kryterium krzyżowania, wedle którego osobniki należące do różnych gatunków nie krzyżują się ze sobą, a jeśli nawet, to i tak mieszańce będą bezpłodne. A przecież następujące po sobie pokolenia zawierały „związki małżeńskie", a ponadto na danym etapie rozwoju gatunku różnice między współczesnymi sobie grupami człowiekowatych były stosunkowo niewielkie. Datowanie szczątków kostnych wskazuje jednak niezbicie, że człowiek rozumny wkroczył na arenę dziejów 40 tys. lat temu.

– Jak w takim razie doszło do powstania gatunku?

– Różnice między Neandertalczykiem a Homo sapiens nie były aż tak znaczne. Przyjrzyjmy się czaszkom. Ich rozmiary są podobne, tyle że czoło Neandertalczyka jest silnie pochylone do tyłu, a więc część czołowa jego mózgu była mniejsza od naszej o jedną czwartą. Twarz też miał raczej niesympatyczną: masywną szczękę dolną pozbawioną bródki i wydatne wały nadoczodołowe. Ten „okap" kostny chronił czoło przed silnym naciskiem ku górze podczas żucia pokarmu. O ile jednak czaszka Neandertalczyka zamieszkującego Europę od 250 do 40 tysięcy lat p.n.e. była prymitywniejszej budowy niż nasza, to pod innymi względami nie różnił się on od nas zupełnie. Np. pionowa postawa jego ciała nie odbiegała od naszej.

– Ale przecież widuje się na rycinach Neandertalczyka przygarbionego, z lekka pochylonego do przodu.

– To nieporozumienie. Znaleziony w Chapelle-Aux-Saintes taki szkielet należał do osobnika w podeszłym wieku cierpiącego na chorobę kręgosłupa.

– Jakie są dowody poziomu intelektualnego człowieka z Neandertali?

– Neandertalczyk pozostawił świadectwa swojej kultury. Nie zapominajmy, że posługiwał się ogniem, polował na duże zwierzęta: mamuty, niedźwiedzie jaskiniowe itp. Prawdopodobnie zatruwał broń truciznami roślinnymi – wszak niełatwo upolować taką zwierzynę. Był już – jak na człowieka przystało – wytwórcą narzędzi. Co prawda prymitywnych jeszcze, łupanych i niezdobionych. Neandertalczyk to także pierwszy architekt. Z braku drewna w tundrze arktycznej używał jako surowca... kości mamuta. Mieszkał w ziemiankach umocnionych kośćmi tych zwierząt. A więc nie tylko w jaskiniach.

W okolicach Nicei zachowało się dobrze zagospodarowane obozowisko neandertalskie z wydzielonym miejscem przygotowania posiłków, śmietnikiem, sypialnią wysłaną trawą morską; osłonięte od wiatru „płotkami" z kości mamucich.

Jedno z arcydzieł artystów epoki paleolitu. Ten obraz konia pochodzi z jednej z jaskiń południowo-zachodniej Francji.

* * *

Przyjrzyjmy się czaszkom: po prawej czaszka Neandertalczyka, po lewej Homo sapiens.

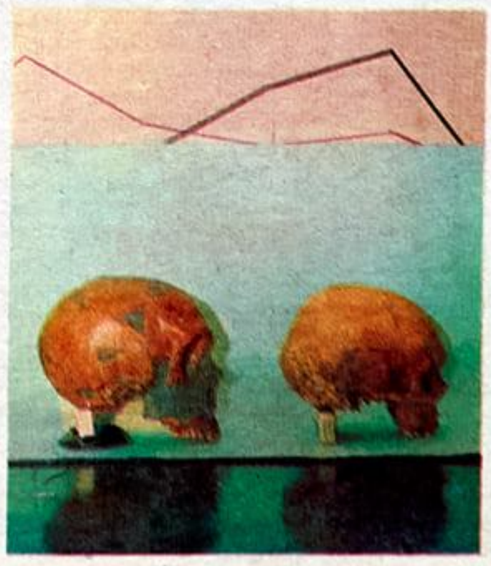

– Panie docencie, czy to prawda, że Neandertalczycy przekazywali sobie informacje tylko za pomocą nieartykułowanych dźwięków i gestów; w odróżnieniu od ludzi rozumnych byli niemi?

– Skądże znowu! Organizacja obozowiska czy polowania wymagała przecież porozumiewania się dźwiękami artykułowanymi. Najprawdopodobniej Neandertalczycy używali słów, które oznaczały pojęcia odnoszące się zarówno do rzeczy jak i do czynności. U Eskimosów do dziś zachowały się tego typu słowa oznaczające czynność i rzecz, chociaż i w naszym języku istnieją takie słowa łączone jak np. grzybobranie, krwiodawstwo, sianokosy itp.

Warto też wspomnieć, że rozwinięte były już wówczas obrządki pogrzebowe. Zmarłych układano na boku albo na wznak orientując ciało w kierunku wschód-zachód lub północ-południe. Obsypywano ich ochrą – czerwonym barwnikiem, który symbolizował związek z życiem, krwią, ogniem. Zmarli otrzymywali dary grobowe: narzędzia, ofiary z pokarmów. Panował wówczas kult głów: urządzano im oddzielne pochówki.

Neandertalczyk europejski nie był jednak bezpośrednim przodkiem Homo sapiens. Musimy zdać sobie sprawę z tego, że nie wszystkie grupy neandertalskie wzięły równie istotny udział w kształtowaniu naszego gatunku. Niektóre z nich wyginęły bezpotomnie.

– Gdzie szukać zatem kolebki naszego gatunku?

– Antropolodzy nie potrafią jeszcze jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Prawdopodobnie wywodzimy się od neandertalskich przodków zamieszkujących Azję Środkową lub Zachodnią. Domyślać się można, że rozmaite grupy Neandertalczyków dawały początek różnym rasom współczesnego człowieka rozumnego. Mogło to dokonać się na przestrzeni 10 tysięcy lat, między 50–40 tysięcy lat p.n.e. A więc odbyło się to bardzo szybko, mierząc geologiczną skalą czasu. W ewolucji zdarzają się jednak takie okresy przyśpieszenia tempa.

Człowiek, który przybył do Europy ze swoich południowo-wschodnich siedzib zepchnął Neandertalczyka na południe lub na północ. Być może z tych szczepów neandertalskich, które wycofały się w kierunku Syberii wywodzą się przodkowie dzisiejszych Eskimosów.

– Czy rozgorzały walki między Neandertalczykami a rozumnymi przybyszami?

– Trudno dziś rozstrzygnąć tę sprawę. Wydaje się jednak, że Neandertalczykom dały się raczej we znaki choroby przywleczone z cieplejszych obszarów. Żyli przecież w surowych, ale niemal sterylnych, pozbawionych bakterii warunkach. W każdym razie Neandertalczycy musieli ustąpić wobec przewagi lepiej uzbrojonych i dobrze zorganizowanych migrantów. Ludzie ci znali już wtedy – 40 tysięcy lat temu – astronomiczną rachubę czasu. Rozwinęli bogaty kult magiczno-religijny, a w związku z nim rozkwitła sztuka: rzeźby, malowidła i płaskorzeźby naskalne. Zdobione misternie narzędzia dopełniają obrazu. Ewolucja naszego gatunku nie zakończyła się jednak z chwilą pojawienia się Homo sapiens.

– To znaczy, że trwa nadal?

– Moje badania wykazały, że w ciągu ostatniego tysiąca lat ludność zamieszkująca nasze ziemie uległa silnym przemianom: wydłużona puszka mózgowa przekształciła się w zaokrągloną, uległo osłabieniu jej urzeźbienie, powiększyły się natomiast oczodoły. Nadal będą się zmniejszać wymiary twarzy w stosunku do puszki mózgowej. Przybierze ona jeszcze bardziej kulisty kształt. A że i uzębienie staje się coraz delikatniejsze, czaszka człowieka przyszłości będzie podobna do czaszki współczesnego dziecka.

Rozmawiała **MARIA WRÓBLEWSKA**

Zdjęcia: **Jacek Łopuszyński**

STARY TORUŃ WIECZNIE MŁODY

Jedno z najstarszych i najpiękniejszych miast w Polsce. Średniowieczne kamienice i wąskie uliczki tchną spokojem. Każda inna, każda następna piękniejsza od poprzedniej. Od ich dostojeństwa odbija gwar spacerowiczów i kupujących. Nad wszystkim króluje Ratusz Staromiejski, w którym ongiś grono poważnych rajców roztrząsało ważne dla miasta sprawy. Dziś tam mieści się muzeum, zaś Urząd Wojewódzki ma swą siedzibę w nowszej części miasta.

Chociaż funkcję swą dawno przestały pełnić, ceglastoczerwone mury są jakby granicą dwóch epok. Tej minionej i trwającej obecnie. Za tymi właśnie murami powstały nowe, słoneczne osiedla, parki a także liczne zakłady pracy np. sławna toruńska „Elana". Chociaż najbardziej Toruń słynie z pierników, wypiekanych podobno według starych receptur.

Najpiękniej w Toruniu jest w maju. Wtedy bujne zieleńce, kwitnące drzewa i słońce zapraszają na wędrówkę po urokliwym mieście. (bs)

Zdjęcia:
KAJETANA ADAMOWSKIEGO

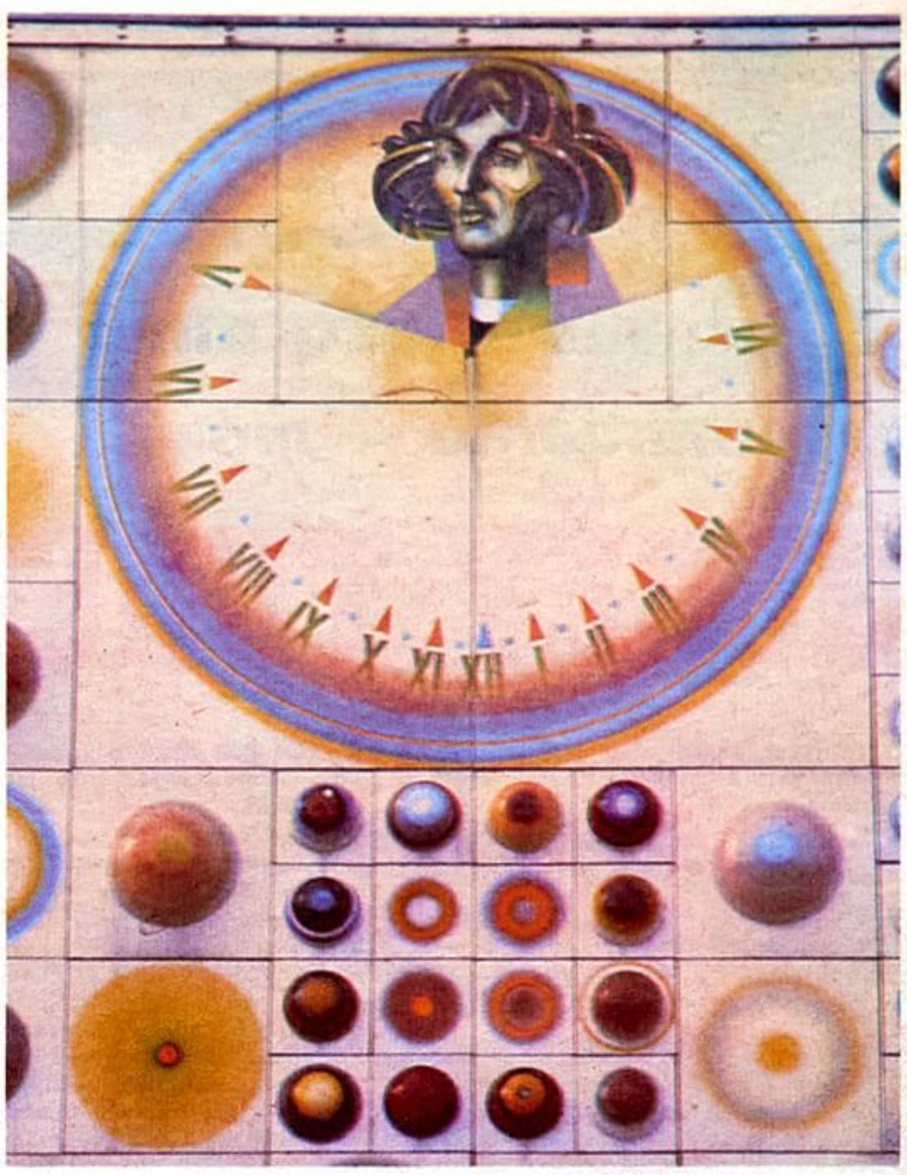

UPOMINEK DLA PANI

Chodzę do VIII klasy szkoły podstawowej i jestem gospodarzem klasy. Nasza wychowawczyni jest bardzo dobra i wszyscy ją lubimy. Na zakończenie roku szkolnego chcemy kupić pani jakiś upominek, który byłby dowodem naszej serdeczności. Mamy do dyspozycji sporą sumę pieniędzy i nie wiemy, na co je wydać. Może pomożecie nam, co najlepiej kupić?

Ewa L.

Od redakcji: Co roku powtarza się ta sama sytuacja. Jesteśmy przeciwni kupowaniu drogich prezentów. Takie upominki bardzo krępują nauczycieli i nie sprawiają im tak ogromnej radości, jak to się ofiarodawcom wydaje. Namawiamy: kupcie kwiaty i jakąś zabawną maskotkę. A jeżeli chcecie, to można także ofiarować album ze zdjęciami całej klasy. Każdy z was coś tam od siebie napisze i w ten sposób zostawicie trwałą pamiątkę, która będzie waszej wychowawczyni przypominała jej klasę.

Monika Kalinowska (lat 13).

interesuje się wszystkimi rzeczami niezwykłymi np. historią Atlantydy, odwiedzinami kosmitów itp. Bardzo lubi zwierzęta.

ZŁODZIEJ?

Było to 4 lata temu. Na apelu pani poprosiła, żebym razem z kolegą przyniósł coś z klasy. Później okazało się, że jednej z naszych koleżanek zginęło 460 zł.

REDAKCYJNA POCZTA

Wszyscy twierdzili, że to ja ukradłem, choć kolega wiedział, że nie mogłem tego zrobić, bo przecież w klasie byliśmy razem. Dziewczyny strasznie krzyczały i chciały, żebym się przyznał. Od tej pory wszyscy patrzyli na mnie z niechęcią i na każdym kroku przypominali, że jestem złodziejem. Teraz chodzę do innej szkoły, ale dziewczyna, której wtedy zginęły pieniądze znalazła mnie i boję się, że opowie o wszystkim moim kolegom. Dlaczego ona jest taka zawzięta? Przecież jeśli nie ma dowodów to nie wolno posądzać mnie o kradzież!

Stasiek z Olsztyna

MORWY NA BOISKU

Nasza drużyna piłkarska została założona w 1974 r. Mieliśmy swój klub, a tuż obok znajdowała się polana, która nie była użytkowana od wielu, wielu lat. Zrobiliśmy z niej boisko. Kosztowało nas to bardzo wiele pracy. Pomogła „Hydrobudowa 1" przywożąc wywrotki z piaskiem. Wyrównaliśmy cały teren, postawiliśmy bramki i mogliśmy trenować. Radość nie trwała długo. Przyszedł jakiś pan i zasadził na uporządkowanym przez nas terenie morwę. Dlaczego nie przypomniał sobie o tej polance wcześniej? Czyżby chciał wykorzystać naszą pracę? Nie musimy opisywać jaką gorycz przeżyliśmy. Podobna sytuacja powtórzyła się drugi raz. I w tej chwili nie wiemy co robić. Chcemy trenować, grać, chcemy zgłosić swój udział do Wakacyjnego Turnieju Piłki Nożnej o Puchar „SM". W tamtym roku, w Rytlu, nie popisaliśmy się najlepiej, ale trening na pewno podreperuje naszą formę. Błagamy, pomóżcie nam!

Drużyna podwórkowa
„Grodziki" z
Grodziska Mazowieckiego

Od redakcji: List naszych czytelników przesłaliśmy do Urzędu Miejskiego w Grodzisku Maz. Stamtąd także oczekujemy odpowiedzi co mają ze sobą zrobić zapaleni piłkarze.

GWIAZDOZBIÓR

Z estradą wiążą mnie wspomnienia — *mówi*

JERZY TUREK

— Pana związki z teatrem są dawniejsze niż decyzja obrania tego zawodu...

— Po ukończeniu technikum mechanicznego pracowałem w FSO na Żeraniu, gdzie razem z Wojciechem Pokorą należeliśmy do zespołu amatorskiego prowadzonego przez aktorów Teatru Powszechnego: Jerzego Tkaczyka i Janinę Polakównę. I tak zasmakowałem teatru. Stanowiliśmy zgraną grupę i choć wszyscy wiedzieli, kto jest bardziej, a kto mniej zdolny — nie wpływało to na stosunki koleżeńskie. Nie było „gwiazdorów", staraliśmy się też jak najwięcej robić sami: dekoracje, kostiumy, ścienną gazetkę...

— Czy myślał Pan już wtedy o przejściu do teatru zawodowego?

— Wówczas uważałem jeszcze swoje zainteresowania teatrem i sportem za równorzędne. Dopiero później nasi opiekunowie poradzili mnie i Wojtkowi, abyśmy zdawali do Szkoły Teatralnej. Udało się nam przejść przez wstępny etap egzaminów ale... nie mieliśmy matury. Kiedy ją zrobiliśmy — te pierwsze eliminacje już nam darowano.

— Co Pan sądzi o zadaniach teatru amatorskiego jako jego były uczestnik?

— Na prowincji ludzie nie zawsze mają kontakt z teatrem zawodowym. Pamiętam, że na naszych przedstawieniach poza Warszawą bywali widzowie, którzy po raz pierwszy stykali się z teatrem. Teraz poznają go w dużym stopniu dzięki telewizji. Ale nie o to przecież chodzi, aby zespół amatorski starał się dorównać zawodowemu, aby go zastępował. Prężne koło dramatyczne, odpowiadające potrzebom środowiska — mające własny repertuar — potrafi ludzi zainteresować, zapewnić sobie własną widownię. Nie mówiąc już o tym, że jest to duża przyjemność dla samych jego uczestników. W takim zespole każdy może znaleźć miejsce dla siebie — ja przynajmniej nie przypominam sobie, aby ktoś zgłosił chęć współpracy i nie został przyjęty.

— Skończył Pan istniejący jeszcze wówczas Wydział Estradowy. Czy późniejsze lata potwierdziły ten wybór?

— Z estradą wiążą mnie niezwykle miłe wspmnienia. Myślę o działającym w latach sześćdziesiątych przy redakcji „Szpilek" Kabarecie „Owca". Zebrało nas się pięciu: Wojciech Pokora, Jerzy Dobrowolski, Andrzej Stockinger, Józef Nowak i ja. Wszyscy znaliśmy się już wcześniej z radia, telewizji i filmu. Byliśmy bardzo zżyci i może dlatego stać nas było na tyle żmudnej, koronkowej wręcz pracy. A przedstawienia wyglądały tak, jakbyśmy po prostu świetnie się bawili. Robiliśmy też sobie dowcipy. Pamiętam, jak koledzy umówili się, że przez pół programu nie dadzą mi powiedzieć ani słowa. I rzeczywiście: znając moją rolę wyprzedzali mnie z tekstem, a ja siedziałem nie mogąc się odezwać. „Owca" — to był mój najpiękniejszy okres! A jednak muszę powiedzieć, że nie estradę a właśnie teatr traktowałem zawsze jako „pierwszy".

— Pamiętam Pana rolę Józefa K. w „Procesie" Kafki, w reżyserii Adama Hanuszkiewicza. Wcześniej znaliśmy Pana jedynie jako aktora charakterystyczno-komediowego...

— Przez trzy miesiące pracowałem wtedy tylko nad tym przedstawieniem, odrzucając wszystkie propozycje radia czy telewizji. Po powrocie z rannej próby chwilę odpoczywałem i zaraz zaczynałem uczyć się tekstu, który Hanuszkiewicz zmieniał z dnia na dzień, przystosowując go do moich możliwości. Była to praca ciężka, ale dająca olbrzymią satysfakcję. Grywałem wprawdzie już przedtem w tzw. wielkim repertuarze, ale zawsze postacie komiczne, do których miałem „klucz". A tu stawiałem znów pierwsze kroki — uczyłem się teatru na nowo. I gdyby nie Józef K., może nie byłoby mojej roli w filmie „Partita na instrument drewniany".

— Co Pan sądzi o tym filmie jako odtwórca jednej z głównych ról?

— „Partita" zrealizowana przez Janusza Zaorskiego według dramatu Stanisława Grochowiaka to film pod wieloma względami wybitny. Jest w nim doskonale oddany klimat okupacji, chociaż nie pokazano tu ani walki, ani Niemców — z wyjątkiem jednego: Antona (świetna kreacja Piotra Fronczewskiego). Niezwykły nastrój wywołuje mgła, obecna niemal we wszystkich scenach, przez którą oglądamy zaledwie kontury postaci, fragmenty wydarzeń. Ciekawa jest także muzyka: stały akompaniament tartaku, w którym polscy robotnicy przygotowują drzewo na szubienicę dla Polaków. A moja rola ubogiego stolarza Weycha, któremu umiera dziecko, gdy on pracuje przy wznoszeniu szubienicy — to znakomity materiał dla aktora.

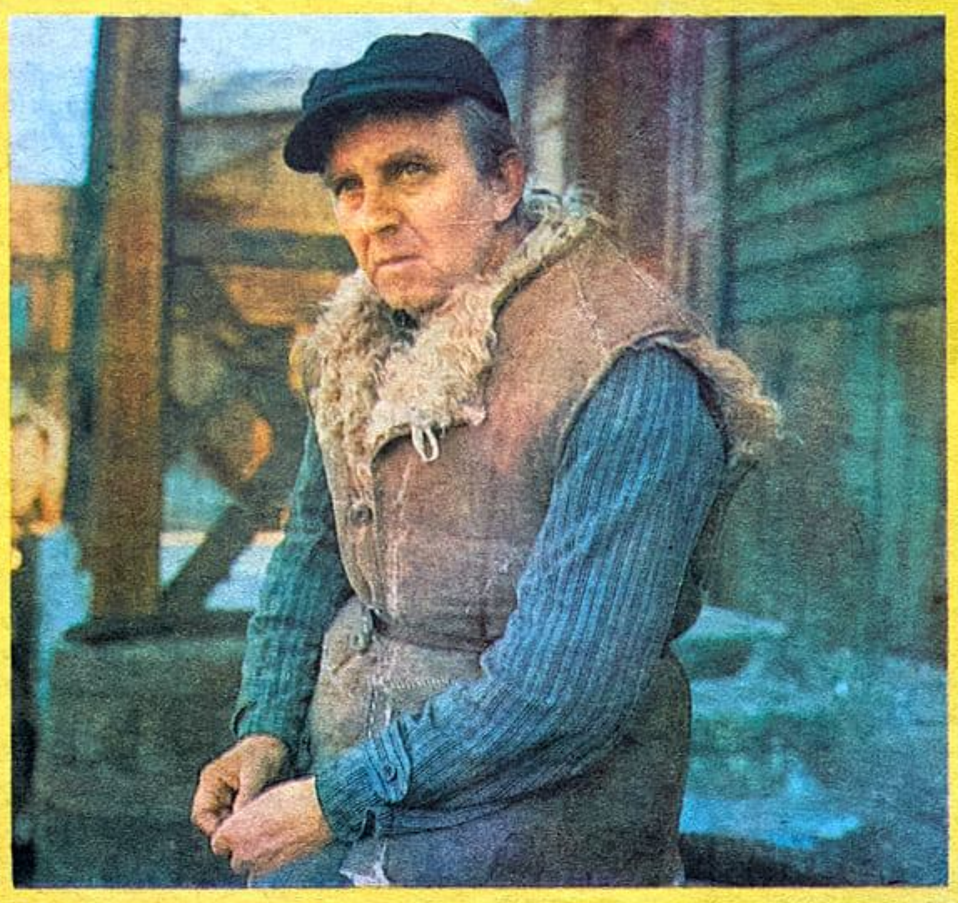

— Tym filmem przełamał Pan ciąg swoich ról „mundurowych". Czy jest Pan z tego zadowolony?

— Był rzeczywiście taki okres, kiedy miałem swój stały mundur w wytwórniach filmowych we Wrocławiu, Łodzi i w Warszawie. Od pewnego czasu, gdy słyszę propozycje jego włożenia robi mi się nieswojo. Starałem się szukać czegoś innego. Gram w Teatrze Rozmaitości, przygotowuję też rolę smolarza w telewizyjnym filmie wg „Hasła" Janickiego.

— Czy poza pracą artystyczną nadal interesuje się Pan sportem? Miłośnicy piłki nożnej pamiętają Pana z rozgrywek aktorów z dziennikarzami...

— Już tylko jako kibic. Natomiast moi synowie Piotr i Paweł grają w piłkę nożną w szkolnej drużynie. Lubią chodzić też ze mną do teatru, a ich recenzja, że tata był fajny — zawsze podnosi mnie na duchu. Bo ja im wierzę...

Rozmawiała: **EWA GOSTKOWSKA**

Zdjęcie: **Roman Sumik**.

Wspomnienie „szczura lądowego"

JAK PRZEŻYŁEM SZTORM?

Piszę te słowa leżąc na „kojku" w kajucie pasażerskiej handlowego statku „Radom". Statek miotany wielkimi falami przecina Zatokę Biskajską w drodze powrotnej z Afryki Zachodniej do kraju. Przechyły boczne dochodzą do 35°. Patrząc z mostku nawigacyjnego wydaje się, że statek za chwilę położy się na boku. Kiedy jedna burta dotyka barierkami wody, druga sięga wysoko nieba. Ale oto wyrasta ponad statkiem góra wody. Serce zamarło mi ze strachu. Za chwilę zostaniemy przygnieceni tą masą. Ale nie, statek wznosi się na szczyt fali. Część wody zalewa dolny pokład, z hukiem rozbijając się o nadbudówki i olbrzymie pnie tropikalnych drzew, które wieziemy przywiązane stalowymi linami.

W kabinie wszystkie przedmioty ożyły i suwają się od ściany do ściany. Wyskakują szuflady, z trzaskiem otwierają się drzwi szaf. W wannie resztki wody bluzgają o sufit. Co chwila kabiną wstrząsa dreszcz, przeszywa ją grzmot walących się mas wody o ścianę statku. Bujająca się na wieszaku wahadłowo kurtka jest jakby wskaźnikiem odchyleń statku od pionu. Coraz trudniej mi pisać, rzuca mną o ścianę, robi mi się mdło. Wtem straszliwy wstrząs przechodzi przez statek. Słychać głuche dudnienie silnika. Wypadam z łóżka. To rufa statku podrzucona do góry wyszła nad wodę i śruba wykonała „puste obroty".

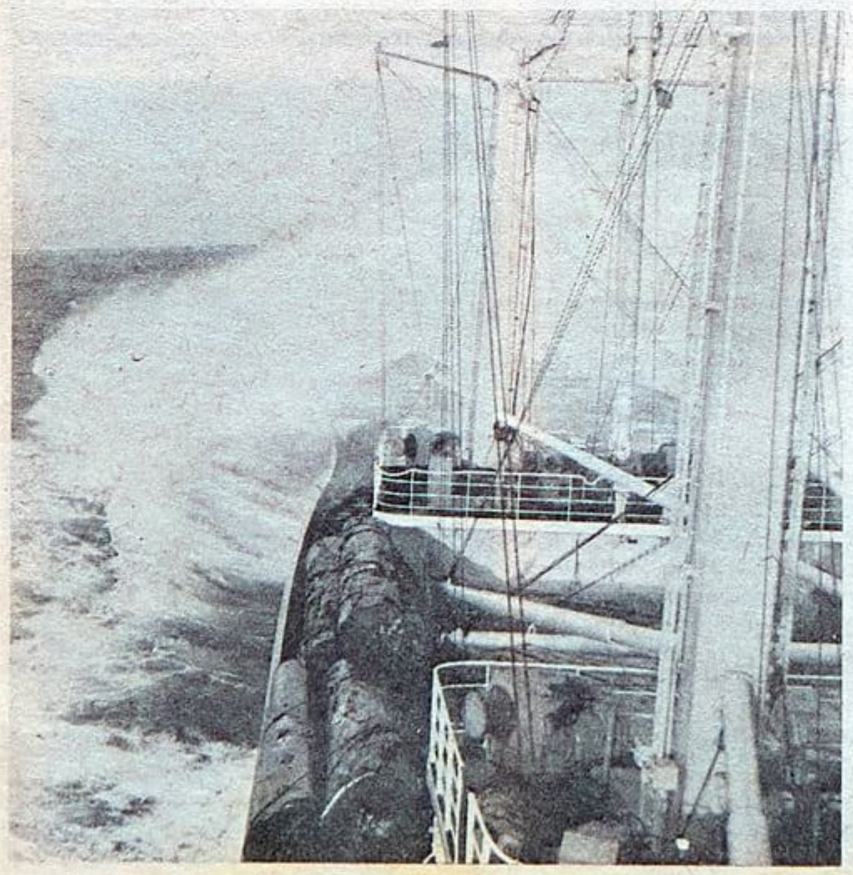

Zaczyna mnie ogarniać niepokój. Za chwilę statek się rozleci, nie wytrzyma tych atakujących ton wody. Robi mi się duszno. Odkręcam bulaj. Uchylam, kiedy burta statku jest w górze. Łapię haust powietrza... Nagłe uderzenie fali i przez okienko wdziera się do kabiny wodospad. Urywa się wisząca nad łóżkiem szafka, sypie się szkło.

Patrzę na pomarańczową kamizelkę ratunkową. Czy długo wytrzymam w niej w zimnej wodzie? Kamizelka zaopatrzona jest w światełko, proszek, który w wodzie tworzy wielką pomarańczową plamę sygnalizując miejsce znajdowania się rozbitka i gwizdek, pozwalający dawać sygnały w ciemności dla chętnych ewentualnego ratowania mnie.

Decyduję się zajrzeć do jadalni. Obijając się o ściany korytarza, choć nie wypuszczam z rąk poręczy, wędruję potykając się o turlające pomarańcze. W lodówce spustoszenie. Z całego pożywienia jeden wielki bigos. Herbaty nie można się napić, bo woda wyfruwa z kubków. Kromką chleba nie można trafić do ust.

Sztorm już trwa dwie doby. Nie można chodzić, nie można patrzeć przez okienko, bo horyzont jeździ — raz widać wodę, raz niebo, nie można spać. Umęczony próbuję utrzymać się na łóżku. Najlepsza pozycja na „żabę". Rozłożone kolana i zaparte nogi o krawędzie łóżka, brzuch przyciśnięty do materaca. Niestety po zaśnięciu człowiek zmienia pozycję, „odblokowuje się" i wypada z łóżka.

Na szczęście jestem tylko pasażerem i nie muszę w czasie sztormu pracować. Marynarze w tym czasie muszą obsługiwać silnik i prowadzić statek, kucharze gotować...

Po trzech dobach wychodzimy z Zatoki Biskajskiej. Wiatr po rufie i wreszcie wzdłużne przechyły statku, nie tak uciążliwe jak poprzeczne. Wchodzimy w kanał La Manche — czyli prawie w domu.

HENRYK CHMIELEWSKI
Zdjęcie autora

5 minut z Magdą

Jagoda jest znowu w rozterce. Sercowej. Już co najmniej od miesiąca chodziła z takim jednym Jackiem i wydawało się (i jej i nam, koleżankom), że sytuacja jest ustabilizowana, aż tu nagle, kilka dni temu, poznała na urodzinach u Bożeny jej kuzyna, niejakiego Heńka. I ten Heniek wpadł jej w oko. Ona jemu jak na razie — nie, ale twierdzi, że to nie problem. Problem polega na tym — czy warto?

Pytała się o to Hanki, pytała się mnie, pytała się wszystkich dziewczyn w naszej klasie i chyba co najmniej kilkunastu z innych klas. Ale... nikt jej nie dał konkretnej odpowiedzi. I stąd ta rozterka.

Biedna Jagoda! Nie chciałabym być na jej miejscu. Musi sama i to jak najszybciej podjąć okropnie ważną decyzję. No bo tak, z jednej strony Jacek — miły, wysoki, dobrze tańczy i w ogóle to już wie, czego się po nim może spodziewać. A z drugiej strony ten Heniek — podobno od Jacka przystojniejszy i bardzo, bardzo sympatyczny, ale właściwie to tak naprawdę nie wiadomo co za jeden. Ale fascynujący, wiadomo — ktoś nowy! Jak zacznie startować do Heńka, to koniec z Jackiem. Nie ma mowy, żeby się udało przed nim zainteresowanie innym chłopakiem dłużej niż przez kilka dni ukryć. A Jacek honorowy jest, jak nic się obrazi i nie będzie chciał już potem z nią gadać. Więc Jacek będzie spalony, a z Heńkiem nie wiadomo tak na pewno jak pójdzie, a jeśli nawet pomyślnie, to też nie wiadomo, co będzie później. I Jagodzie grozi pozostanie na lodzie. To nie bagatelka, zbliża się już połowa maja!

Co prawda ma jeszcze w odwodzie takiego jednego aktora filmowego, który jest podobno Francuzem, ale to też nic pewnego, bo tylko w filmie produkcji francuskiej występował, w telewizji go grali, a nazwisko, to ma takie chyba bardziej angielskie. W tym aktorze to Jagoda zadurzyła się jeszcze w zimie, zaraz jak obejrzała ten film w telewizji. Wysłała nawet kilkadziesiąt listów do różnych redakcji, żeby jej jego zdjęcie przysłali, ale nie przysłali i żadnego zdjęcia nie ma. Pewnie do tej pory to już nawet nie pamięta jak on dokładnie wygląda, więc w gruncie rzeczy nie jest to żadna rezerwa.

Fakt, sytuacja Jagody nie jest do pozazdroszczenia! Hanka mówi, że Jagoda zawsze da sobie jakoś radę, ale mnie to naprawdę i autentycznie jej żal. W końcu to koleżanka, ósmy rok w jednej klasie siedzimy... Tylko tak naprawdę, to nie wiem kogo żal mi bardziej — jej, czy Jacka, a może i Heńka?! Obaj przecież nie wiedzą, co ich czeka!

MAGDA

REPORTER Świata Młodych

Smutne konsekwencje

Niedawno byłam świadkiem pewnego wydarzenia. Dwie kilkunastoletnie dziewczynki jechały do dużego miasta. Środkiem lokomocji był pociąg. Podróż nie była daleka, więc młode pasażerki nie wchodziły do przedziału, lecz zatrzymały się w przejściu, Czas upływał szybko i spokojnie. I byłoby tak chyba do końca, gdyby nie to, że na jednym z przystanków do wagonu wsiadło kilku młodych chłopców. Zachowywali się ordynarnie. Ich słownik był okropny. Zaczęli dziewczęta zaczepiać. Kiedy żarty stały się już zbyt dokuczliwe, obie zwróciły chłopcom grzecznie uwagę i poprosiły, aby przenieśli się w inne miejsce. Chuligani wybuchnęli śmiechem i młode podróżne uzyskały tylko to, że docinki się wzmogły. W tym czasie pociąg dojechał do stacji docelowej. Z wagonów zaczęli wychodzić ludzie. Chłopcy oświadczyli, że wysiądą ostatni i zatarasowali sobą przejście, odgradzając dziewczęta od drzwi i uniemożliwiając im wyjście. Wystraszone skierowały się do drzwi przeciwnych i wysiadły w niedozwolonym miejscu. Na peronie zatrzymał je funkcjonariusz MO, prosząc o dokumenty i wyjaśnienie. Na nic się jednak zdały tłumaczenia. Zatrzymane znalazły się w kolejowym posterunku MO. Milicjant spisał ich dane i powiedział, że o tym wypadku zawiadomi szkołę.

W ten sposób opinia, trzeba dodać dotąd nienaganna, została mocno nadszarpnięta. Poza tym dziewczęta przeżyły ogromny szok psychiczny, ponieważ pierwszy raz były na posterunku MO w charakterze zatrzymanych. Długo nie mogły do siebie przyjść.

Jedną z tych dziewcząt byłam ja sama, drugą moja koleżanka. Co się zaś tyczy chłopców, to z pewnością nie podejrzewają nawet, jak wielką krzywdę nam wyrządzili! Dlatego apeluję do tych, którzy są im podobni. Zanim zaczniecie zaczepiać, to najpierw zastanówcie się, jakie to może spowodować konsekwencje.

Bożena Łapy

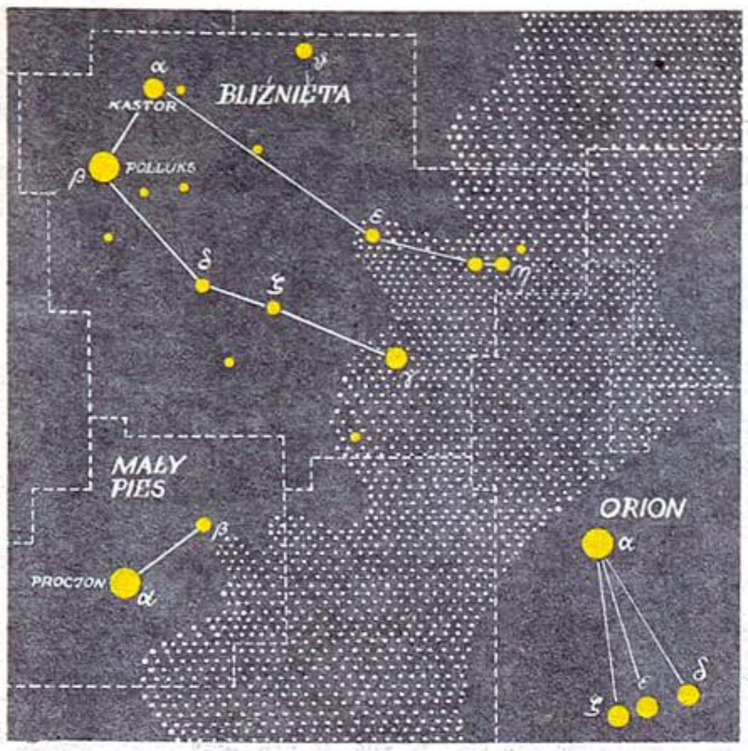

BLIŹNIĘTA I MAŁY PIES

W tym liście postaram się opisać dwie konstelacje: BLIŹNIĘTA I MAŁEGO PSA.

Bliźnięta znajdziemy bardzo łatwo. Wystarczy przedłożyć sobie linię, którą wyznacza „wrzeciono" Oriona do góry i w lewo, czyli na wschód. Natrafimy na układ gwiazd przypominających prostokąt, na którego wsch. krańcach, będą się znajdowały dwie bardzo podobne do siebie gwiazdy — alfa Bliźniąt (Kastor) i beta Bliźniąt (Polluks). Odnalezienie tych wyraźnych gwiazd nie powinno sprawić trudności. Warto zwrócić uwagę na to, że nie mają jednakowego blasku. Jedna świeci jaśniej — Kastor, druga ciemniej — Polluks. Różnią się o prawie całą wielkość gwiazdową (słabsza jest drugiej wielkości).

Bliźnięta już znamy. Następny gwiazdozbiór to Mały Pies. Najjaśniejszy w nim jest Procjon, gwiazda podobna do Syriusza, ale od niego słabsza. Znajduje się on niżej od Bliźniąt, kiedy patrzymy na południe. Znaleźć go łatwo, gdyż równie jasnych gwiazd nie mamy w okolicy. Procjon należy do gwiazd bliskich Słońca. Odległość wynosi 10 l. ś., a średnica jego jest prawie dwa razy większa od naszej dziennej gwiazdy.

Z tego co dotychczas wiemy o wielkościach gwiazdowych można by wywnioskować, że są one albo bardzo wiele razy, albo tylko nieco większe od Słońca. Wspomniałem jednak, że nie widzimy gwiazd słabych w większych odległościach. Okazuje się, że trudno je odkryć nawet blisko Słońca. W rzeczywistości jest ich bardzo dużo. Obie bliskie jasne gwiazdy — Procjon i Syriusz — mają tzw. towarzyszy. Są to składniki, z którymi gwiazdy te tworzą układ podwójny. Po bliższym zbadaniu okazało się, że średnica towarzysza Syriusza jest około 50 razy mniejsza od średnicy Słońca, towarzysz Procjona jest jeszcze mniejszy. Rys. przedstawia względne wielkości tych gwiazd.

Roman Murawski

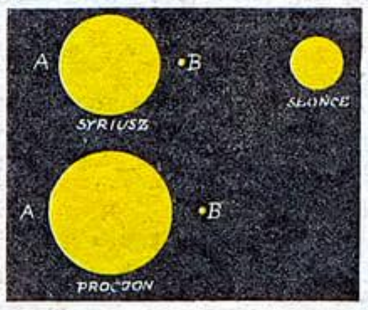

„KOSMICZNE ŚMIECIE" nie muszą być groźne

OD pewnego czasu zacząłem się interesować kosmosem, a mianowicie od dnia, w którym wziąłem do ręki książkę Ericha Dänikena „Wspomnienia z przyszłości, zagadki nierozwiązane przeszłości". Polecam ją wszystkim czytelnikom oraz członkom „TOMIKA".

Chciałem dziś napisać o „niebezpieczeństwie" grożącym statkom kosmicznym czy sputnikom ze strony „śmieci", jak określił Konrad Zbrożek sztuczne obiekty, które nie służą już niczemu (Nr 36 ŚM). Napisał on, że każdemu sputnikowi będzie grozić ze strony owych „śmieci" niebezpieczeństwo. Czy tak będzie? Pozwolisz Tomiku, że zacytuję pewien artykuł, który nam tę sprawę (sporną) wyjaśni.

W ciągu kilkunastu lat „ery kosmicznej" sztuczne ciała kosmiczne stały się nieodłącznym elementem komunikacji, meteorologii i kosmonautyki. Po ZSRR i USA próby ze sztucznymi satelitami Ziemi rozpoczęły Francja, W. Brytania, Kanada, Włochy Japonia i kilka innych krajów. Stale też rośnie liczba sputników. Ogólna liczba wyniesionych na orbity sputników i innych urządzeń wynosi 3 340, w tym sputników, stacji automatycznych i sterowanych statków kosmicznych – 800. W związku z tym niejeden z nas zadaje sobie pytanie: czy przypadkiem w kosmosie nie stanie się tak „ciasno", że sputniki zaczną się zderzać a kosmonauci staną wobec nowego niebezpieczeństwa. Otóż problem ten, jak dotąd, w ogóle nie istnieje, albowiem większość sztucznych obiektów w przestrzeni okołoziemskiej istnieje stosunkowo niedługo. Uwzględniając ściągnięte na ziemię obiekty oraz te, które spadły, obliczono, że w kosmosie w br. krążyło 300 sputników oraz 800 rakiet nośnych itp. W przestrzeni kosmicznej jest więc dalej wiele wolnego miejsca dla sztucznych satelitów. Jeśli dotychczasowe tempo „zagospodarowywania" kosmosu będzie utrzymane, w roku 1990 na orbitach okołoziemskich znajdzie się ok. miliona różnych większych i mniejszych obiektów. Ale nawet i wówczas (pamiętajmy, że wysokość orbit może wahać się od kilkuset do kilkunastu tysięcy km) wcale nie będzie za „ciasno".

Andrzej Buliński

Dziś kolejna porcja „gwiezdnych" wiadomości oraz jeden „remanent" o kosmicznych śmieciach. Chciałbym zaapelować do Was o cierpliwość — otrzymałem ostatnio bardzo dużo interesujących wypowiedzi na temat gwiazdozbiorów, które, niestety, muszą czekać w kolejce na druk w „SM".

prezes TOMIKA ST. BOROWIECKI

PANIE Prezesie, w moim krótkim liście chciałbym poruszyć problem gwiazd wielokrotnych, który może zainteresować czytelników TOMIKA.

Gwiazdy grupować się mogą nie tylko w pary, ale także mogą wchodzić w skład ugrupowań złożonych z większej liczby gwiazd. Spośród gwiazd wielokrotnych najliczniejsze są układy podwójne. Składają się z dwóch gwiazd krążących wokół siebie pod działaniem wzajemnego przyciągania grawitacyjnego. Niektóre dzieli duża odległość, toteż dlatego obiegają wokół siebie w okresie wieluset lat. Natomiast w niektórych parach gwiazdy niemal że się dotykają, prędkość zaś ich ruchu orbitalnego przekracza 200.000 km/godz. Wzajemne silne przyciąganie sprawia, że mają kształt owalny. Okres obiegu tych gwiazd bywa większy od jednej doby. Układ taki nie wykazuje stałego blasku, lecz występują okresowe zaćmienia, ponieważ jedna gwiazda zasłania drugą. Bardziej złożonym układem jest para gwiazd położonych blisko siebie i odległego od tej pary towarzysza. Takim przykładem jest najbliższy nam układ alfa Centauri, który jest układem potrójnym. Są także gwiazdy poczwórne, utworzone naj-

Najczęściej spotykane układy podwójne, złożone z dwóch gwiazd, blisko wokół siebie krążących. W wielu przypadkach astronomowie potrafią wyznaczyć orbity tych gwiazd tak dokładnie, że można z nich wyznaczyć i określić siłę grawitacyjną gwiazd, a później korzystając z prawa Newtona — także ich masy.

częściej z dwóch par ciasnych układów podwójnych: np. układ Mizara w gwiazdozbiorze Wielkiej Niedźwiedzicy.

Jeszcze ciekawszym układem wielokrotnym jest zespół gwiazd należących do układu Kastora (alfa Bliźniąt). Jest to gwiazda podwójna, wizualnie złożona ze składników niewiele różniących się blaskiem (Kastor A i Kastor B). W skład tego układu wchodzi jeszcze trzeci składnik (Kastor C), położony daleko od głównej pary układu. Każdy ze składników (A, B, C) jest gwiazdą spektralnie podwójną, wskutek czego układ Kastora należy rozpatrywać jako gwiazdę poszóstną. Mało kto wie, że znamy także układ, w skład którego wchodzi aż 9 gwiazd (!) Ma on nazwę dzeta Oriona.

Układy wielokrotne, w których odległości między poszczególnymi składnikami byłyby tego samego rzędu, trafiają się bardzo rzadko. Tego rodzaju jest układ położony w gwiazdozbiorze Oriona złożony z 6 gwiazd rozmieszczonych we wzajemnych odległościach tego samego rzędu. Otrzymał on nazwę Trapezu Oriona. Po bliższych obserwacjach przez znanych astronomów okazało się, że wykazuje on cechy nietrwałości, bowiem cały ten układ rozszerza się.

Na zakończenie chciałbym zaznaczyć, że gwiazd podwójnych jest bardzo dużo, w sąsiedztwie tylko Słońca prawie co druga gwiazda należy do jakiegoś układu podwójnego lub wielokrotnego.

Bogdan Marciniak

aż do schroniska Skalnik, gdzie ostro skręcała w dół. Po dziesięciu minutach szybkiej jazdy było się na niewielkiej polanie, do której zbiegała druga nartostrada od Wielkiego Głazu. Stąd, już jedną szeroką trasą można było po piętnastu minutach dojechać do wyciągu krzesełkowego.

Chłopcy znali tę drogę. Wiedzieli, że choć szeroka, pełna jest ostrych zakrętów, stromych zjazdów a nade wszystko licznych wycieczek, które miały zwyczaj chodzenia ławą. To tutaj właśnie rozbił się w ubiegłym roku Brzoza. Pamiętali ten wypadek jakby to było wczoraj...

Pokonali ostatni zakręt i znaleźli się na wprost wyciągu. Tutaj zatrzymali się. Czekali na Brzozę, który zamykał wyprawę. I wtedy z bocznej przecinki wyszła wycieczka, zajmując całą szerokość trasy łącznie z linią wyznaczoną dla narciarzy. Któryś krzyknął otrzegawczo, lecz było już za późno. Brzoza wyskoczył zza zakrętu. Zahamować na oblodzonym szlaku było niepodobieństwem. Mógł jechać na wprost licząc, że w ostatniej chwili turyści odskoczą, ale widać nie chciał ryzykować i w ostatniej chwili skręcił w las. Chłopcy biegli na przełaj zapadając się po pas w kopnym śniegu. Brzoza, otoczony wycieczkowiczami, leżał blady z zamkniętymi oczami. Z rozciętego czoła płynęła strużka krwi. Strzaskane narty trzymał jeden z turystów. Nieśli go potem na zmianę do stacji GOPR-u.

– Pamiętasz Brzozę? – zapytał niespodziewanie Komorocha. – On chciał wtedy ratować ludzi. A jego ten drań zostawił! No... O, zobacz, znowu tak idą! Ach, ci ludzie!... – westchnął. – Rozłażą się niczym stonka. I jak ma nie być wypadków?! Ech, szkoda gadać. Idziemy!

Rozpoczęli mozolną wspinaczkę w kierunku widniejącego na tle błękitnego nieba schroniska Skalnik. Idący przodem Komorocha zatrzymał się wskazując wąską ścieżkę wychodzącą z lasu i dołączając do szlaku.

– Widzisz?...

– No widzę! I co z tego?!... Zwykła przecinka.

– Właśnie, przecinka, ale kiedy będziemy na szczycie, on może stąd właśnie wyjechać i wtedy nas ominie.

– Rzeczywiście. Więc musimy zejść niżej.

– Oj Czarny, Czarny! A nie przypuszczasz, że on może jechać z góry i skręcić w tę przecinkę?

– To zostaliśmy tutaj!

– A schronisko? Przecież obok niego znajduje się najruchliwsza nartostrada. Tam też musi ktoś stać.

– Przecież wszystkich tras nie obstawimy!

– A jednak musimy!

– Ciekawe jak nas dwóch podzielisz na cztery?! No bo trzy nartostrady plus ta przecinka.

– Nie mam zamiaru dzielić nas dwóch na cztery, tylko odwrotnie: cztery na dwóch.

– Nie widzę różnicy!

– Oj, kiepski z ciebie matematyk! To przecież proste – wystarczy, że jeden wróci z powrotem na polanę i...

– Już wiem! – krzyknął Czarny – Tam na dole będzie można kontrolować narciarzy jadących z trzech punktów. Dobra jest, jadę!

– Chwileczkę! Na dole musisz tak stanąć, aby widzieć mnie przy Skalniku. Gdyby coś, to dajesz znać. Tylko czym?! – zastanowił się. Pogrzebał chwilę w kieszeni.

– Patrz, przydało się! – powiedział wyciągając małe lusterko – siostra mi dała, nawet wstydziłem się, ale teraz jak znalazł. Gdyby coś, to błyśniesz trzy razy!

Czarny pojechał w dół, Komorocha pomaszerował w górę. Szedł wolno, długim krokiem doświadczonego turysty. Od czasu do czasu mijali go w pędzie zjeżdżający z gór narciarze. Przyglądał im się uważnie. Niestety, widział tylko różnokolorowe kurtki i skafandry. Gołfy były rzadkością.

Kiedy znalazł się na szczycie był solidnie spocony. Ale mógł odpocząć, ruch na tej trasie rozpoczynał się dopiero po południu, kiedy narciarze zjeżdżali do wyciągu. Teraz jeżeli nawet od czasu do czasu pojawił się jakiś samotny narciarz, to nie skręcał w dół lecz jechał dalej, ku Samotnemu. „O choroba! Nie najlepiej to wykombinowałem! – przemknęło mu nagle przez myśl – Bo jeżeli facet pojedzie dalej i będę musiał za nim gonić, to zgubię Czarnego. No, ale trudno..."

Nagle serce zabiło mu gwałtownie – na dole błysnęło trzykrotnie. „Ależ bęcwał ze mnie – pomyślał ze złością – powinienem mieć narty przypięte".

Ze zmarzniętych, obitych śniegiem butów wiązadła zsuwały się. Zrzucił więc rękawice, ale i to niewiele pomogło. Rozgrzane palce nieprzyjemnie przylepiały się do blachy okuć. Komorocha z rozpaczą patrzył w dół. Czarny sygnalizował bez przerwy.

C.d.n.

opowieści pradziadka Hieronima

SKĄD SIĘ BIERZE WODA SODOWA

WIECZÓR 1 ◦ ODC. 14 P.T. NIEWDZIĘCZNOŚĆ SOLENIZANTA

tekst & rysunki T. BARANOWSKI

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:

Red. naczelny 21-15-61

Sekr. redakcji 28-25-48

Dział Łączności z Czytelnikami 28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa—Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00—561 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-56-19. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00—958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Redaktor odpowiedzialny:
Maria Jaworska

Opracowanie graficzne:
Mieczysław Teodorczyk

Redakcja techniczna:
Anna Dąbrowska

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa.

Zam. 57/2802 J-76

Nr indeksu — 35039/35046.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 POCZTOWY

HENRYK LEŚNIOWSKI

— Masz rację Baleronik — powiedział — on mógł zostać w mieście, chociaż wątpię. Na jego miejscu wolałbym dobrze schować wóz i znikać z miasta. Zresztą w niedzielę nikt mu tego nie zrobi. Dla niego najlepsza pora to noc. Wtedy będzie działał. Ale miasto też musimy przeszukać. Wszystkie warsztaty, zwłaszcza te w pobliżu wyciągu... Słuchajcie, mam taki plan!...

Otoczyli go zwartym kołem uważnie słuchając propozycji. Czasami ktoś rzucał jakąś uwagę lub pytanie. Słoń cierpliwie wyjaśniał.

Trochę zamieszania powstało podczas przydziału zadań, ale tutaj Słoń był nieustępliwy.

W pół godziny później, podzieleni na dwuosobowe patrole szli nartostradami wypatrując okrągłej, grubej twarzy z dużym nosem.

★

Las nagle się skończył. Milimetr z Małym byli na miejscu. Mieli przed sobą zalane słońcem zbocze, po którym we wszystkich kierunkach poruszały się ciemne sylwetki narciarzy — kiedy jedni z uporem pięli się w górę, inni już sunęli w dół. Z miejsca, gdzie stali chłopcy, sprawiało to wrażenie gigantycznego mrowiska, które potrącił nieuważny przechodzień.

— O rany! — szepnął Mały — Gdzież my w takim tłumie odszukamy naszego nochala?!

— Cicho! Nigdy nie wiadomo kto może usłyszeć! — zmitygował kolegę Milimetr, po czym wyciągnął z futerału lornetkę i w milczeniu, systematycznie przeglądał zbocze. Po długiej chwili stwierdził: „Ciemnowiśniowego swetra nie widzę"...

— Mógł się przebrać — zauważył Mały.

— Właśnie. Dlatego trzeba dokładnie wszystkich pooglądać. Wpierw jednak zameldują, że dobiliśmy na miejsce.

Podeszli do malutkiego, ginącego w zaspach, budynku schroniska.

— Poczekasz tu na mnie i będziesz prowadził obserwację! — rozkazał Milimetr. Ściągnął narty, wbił je końcami w śnieg i nie oglądając się na kolegę wszedł do schroniska.

Zaraz za progiem stanął niezdecydowany. Po jaskrawej bieli gór, wnętrze budynku wydało mu się zupełnie ciemne. Dopiero po dłuższej chwili dostrzegł jakieś drzwi. Otworzył je. Kilka osób siedzących przy stolikach spojrzało w jego stronę. „Pirata nie ma..." — stwierdził ze smutkiem i skierował się do bufetu.

— Czy mogę skorzystać z telefonu? — zapytał uprzejmie bufetowej, a kiedy ta skinęła głową, podniósł słuchawkę i szybko wykręcił numer.

Słoń zgłosił się niemal natychmiast.

— Melduje się Milimetr — powiedział chłopiec ściszając głos — Jesteśmy na miejscu. Będzie ciężko. Trzeba przeglądnąć kilkaset ludzi. No, mówię ci, mrowie! Czy jest już coś ciekawego od innych? No to odmeldowuję się!

Zapłacił za rozmowę i wyszedł. Przez chwilę mrugał oczami.

— Ale świeci! — mruknął trąc oczy. — Nic nie widzę... No, już lepiej. Słuchaj, Mały, musimy się podzielić. Ty weźmiesz od lasu do tego świerku, a ja dalej. Tylko nie pchaj się w górę, bo nikt na szczycie nie sterczy, tylko prędzej czy później zjeżdża w dół. Będziemy więc czekali na niego. No i nie stój jak malowany, bo będzie podpadało. Musisz jeździć wahadłowo od lasu pod to drzewo i z powrotem. A po godzinie zmienimy się trasami. Zgoda?!

— Tak jest! — regulaminowo odpowiedział Mały.

★

Czarny i Komorocha mieli jeszcze trudniejsze zadanie. Znajdowali się na ruchliwej nartostradzie biegnącej szczytami gór

Ciąg dalszy na stronie 7